№ 79. Warszawa, dnia 19 Września / 1 Października 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

przez
Stanisława Chomentowskiego.

III.

Odmienność w zapatrywaniu się antropologów na liczbę rass ludzkich. Podobieństwa zachodzące pomiędzy ludźmi należącemi do rozmaitych rass. Jedność pochodzenia rodzaju ludzkiego. Zmienność rass skutkiem ich krzyżowania się. Ludy przejściowe. Wymieranie rass ludzkich.

W poprzedni szkic o *„rassach ludzkich według systemu etnograficznego”* zakończyliśmy wzmianką, że raz jeszcze powrócimy do tego przedmiotu. Nie wszyscy bowiem antropologowie przyjmują pięć owych głównych poddziałów rodzaju ludzkiego. Podczas bowiem gdy *Virey* dzieli mieszkańców ziemi na dwie tylko rassy, wyróżnia takowych *Burke* aż sześćdziesiąt trzy, *Crawford* sześćdziesiąt, *Morton* dwadzieścia dwie, *Desmoulins* szesnaście, *Bory de St. Vincent* pietnaście, *Pickering* jedenaście, *Agassiz* ośm, *Hunter* siedm, *Buffon* sześć, *Blumenbach* owe pięć rass, które już bliżéj określiliśmy, wreszcie *Kant* cztery tylko, a *Jaquinet* trzy rassy. Już samo to wyliczenie jak słusznie powiada *Darwin* (*) stanowi pewną wskazówkę, że jedne rassy przechodzą w drugie, że nie ma dokładnego, ścisłego odgraniczenia pomiędzy jedną a drugą rassą. Posłuchajmy zresztą jak zdanie swoje uzasadnia wzmiankowany uczony.

Istniejące rassy ludzkie, powiada Darwin, pod wieloma względami różnią się między sobą, posiadają one odmienny kolor skóry i włosów, kształt czaszki, wymiary ciała, i t. d. pomimo to jednak są one do siebie wielce zbliżone pod innemi względami. Najprzód zwraca uwagę naszą zarówno tożsamość ogólnéj organizacyi fizycznéj przedstawicieli rozmaitych rass, jak i wielkie ich podobieństwo pod względem strony umysłowéj. Odbywając podróż na okręcie *Beagle*, łącznie z krajowcami *Ziemi Ognistéj*, Darwin zauważył liczne drobne rysy charakteru tych ludzi, wskazujące na wielkie podobieństwo umysłowéj ich strony do naszéj; inną znowu razą spostrzegł on takież same podobieństwo umysłowéj strony murzyna, z którym dłuższy czas przemieszkiwał, do ludów naszéj rassy.

Interessujące strony owéj umysłowéj jedności różnych rass podaje *Tylor*, w dziele *„Early History of Mankind,”* oraz *Lubbock*, w słynnéj pracy swojéj: *„Prehistoric Times.”* Obaj uczeni wykazali jak blizkie istnieje podobieństwo u ludów wszystkich rass, pod względem ich gustów, skłonności i nawyknień. Podobieństwo rzeczone wyraża się w zadowolnieniu, jakie im sprawia taniec, muzyka, przedstawienia teatralne, malarstwo, tatuowanie skóry i wszelkie inne sposoby upiększania swego ciała; daléj podobieństwo owe uwydatnia się także w ich wzajemném pojmowaniu ruchów wszelkich, gestów, mowy znakowéj, a nadto w jednakowéj grze fizyonomii, i wreszcie w jednych i tychże samych wykrzyknikach nieartykułowanych, przy silniejszych wzruszeniach umysłowych. Rozmaite rodzaje małp, jak to zauważył Darwin, nie okazują jednakowéj gry twarzy gdy pozostają pod wpływem gwałtownych wzruszeń. Kamienne zakończenia strzał, znalezione w łonie ziemi, pochodzące z odległéj starożytności i przywiezione z najodleglejszych krańców 5ciu części świata, przedstawiają zupełną tożsamość pod względem kształtów swoich, jak to wykazał *Wilson.* Fakt ten daje się tylko wytłomaczyć jednostajnością ducha wynalazków wśród rozmaitych rass ludzkich. Archeologowie zauważyli podobne zjawisko, polegające na podobieństwie ozdób służących do ubrania u ludów żyjących w odległéj starożytności. Sposób chowania umarłych przedstawia również wielkie podobieństwo wśród oddalonych wzajemnie ludów. Darwin zauważył w Południowéj Ameryce, iż tam zarówno jak i w wielu innych częściach ziemi, ludzie gromadzą stosy kamieni na wierzchołkach wzgórz, w celu upamiętnienia ważniejszych wydarzeń lub jako pomniki dla zmarłych.

Wreszcie jedność rodzaju ludzkiego zdaniem *Darwina*, uzasadnia przyjęta powszechnie przez naturalistów zasada, według któréj wszelkie gatunki zwierzęce, uważają się jako pochodzące od jednego wspólnego pra-ojca, skoro tylko okazują blizkie podobieństwo w licznych drobnych szczegółach, przyzwyczajeniach i skłonnościach. Tak więc należy przyjąć że i rozmaite dziś istniejące rassy ludzkie miały przed wiekami jednego wspólnego pra-ojca. Pierwotnie powstałe rassy były nieliczne i mało od siebie się różniły. Lecz i dziś istniejące rassy z wielką łatwością mięszają się ze sobą i przechodzą jedna w drugą. W Brazylii spotykamy liczny lud pochodzący ze skrzyżowania murzynów z portugalczykami. *Quatrefages* zamieścił naprzykład w *Przeglądzie antropologicznym* (Antropol. Review, za styczeń 1869) interessujące sprawozdanie o postępach i energii *Paulistów* w Brazylii, którzy są następcami Portugalczyków i Indyan, z domieszką krwi innych jeszcze rass. W Chili znowu i w sąsiednich mu krajach południowéj Ameryki, cała ludność składa się z Indyan i Hiszpanów, skrzyżowanych w rozmaitych stopniach. Na wielu zaś

(*) Darwin: The descent of man. London 1871. Chapter VII.

miejscowościach lądu amerykańskiego, napotykamy potrójne skrzyżowania murzynów, Indyan i Europejczyków. Na jednéj z wysp oceanu Spokojnego, znajduje się ludność przedstawiająca mięszaninę krwi angielskiéj z polinezyjską. Na archipelagu znowu Witi, mieszkańcy pochodzą ze skrzyżowania rassy australskiéj z murzyńską. Liczne przykłady rozmaitego krzyżowania rass przedstawiają mieszkańcy dzisiejsi południowéj Afryki. Tyle powiada *Darwin*; my zaś dodamy tu jeszcze, że murzyni wybrzeży afrykańskich, jako też krajów położonych więcéj ku środkowi téj części świata, przedstawiają częstokroć mięszaninę krwi nubijskiéj, arabskiéj, barbaryjskiéj i egipskiéj. Mieszkańcy Madagaskaru są potomkami skrzyżowanéj rassy malajskiéj i murzyńskiéj, do których się domięszała krew arabska, a po części nawet i chińska. Podobnych przykładów moglibyśmy naliczyć wielką ilość w rozmaitych częściach świata, i pod różnemi szerokościami geograficznemi.

Pomięszanie, czyli krzyżowanie się rozmaitych rass pomiędzy sobą, wpływa niewątpliwie na zmianę postaci czaszki i kształtów ciała, klimat zaś i stopień cywilizacyi wywierają pod tym względem daleko podrzędniejsze działanie. Niektóre rassy, lub ich poddziały, szczepy (*), mięszają się ze sobą łatwiéj, inne znowu, jak naprzykład europejczycy z mongołami, trudniéj. Nie wielką ma być liczba dzieci pochodzących z europejczyków i mieszkanek Australii, oraz Nowéj Kaledonii. Z drugiéj znowu strony mulaci żyjący nad zatoką mexykańską, a pochodzący ze skrzyżowania hiszpanów i francuzów z murzynami, są bardzo liczni i płodni, gdy tymczasem, mulaci w południowéj Karolinie, są słabi i daleko mniéj płodni; pochodzą oni od anglików, irlandczyków z jednéj, a murzynów z drugiéj strony. Również i na wyspach wschodnio-indyjskich mulaci pochodzenia romańskiego są liczniejsi i płodniejsi niż mulaci idący od germańskiego szczepu. Rzeczone twierdzenie udowadniają liczni mulaci w hiszpańskiéj Tierra firma, oraz w Senegalu i Kongo, gdzie ojcami ich są portugalczycy. Holendrzy jednak z hottentotkami wydali lud *Griquasów*, który się równie dobrze na tym świecie utrzymuje i rozradza, jak i opisane przez *Martiusa* plemie *Kafusos* w Brazylii, pochodzące z krzyżowania murzynów z południowo-amerykańskiemi indyanami. Mało płodnemi mają być potomkowie chińczyków i malajczyków, mieszkający na archipelagu indyjskim. Ludzie pochodzenia mięszanego z 2-ch odrębnych rass, okazują na sobie bądź przeważnie cechy ojcowskie, bądź też macierzyste. *Fitzroy*, uczony podróżnik angielski, widział na *Keeling Island* dzieci mające skórę miedziano-czerwoną, a pochodzące z ojca anglika, a matki malajki. Duńczycy z kobietami indyjskiemi, według *Lucasa*, wydają dzieci z typem zupełnie europejskim, gdy tymczasem potomkowie kobiet mongolskich i europejczyków, zachowują zwykle kształty i cechy macierzyste. Francuzki podróżnik le Vaillant utrzymuje, że dzieci europejczyków i hottentotek zbliżają się zupełnie do ojców swoich, a *Burchell* zauważył, że dzieci spłodzone z małżeństwa angielki z hottentotem były większe i bielsze, od dzieci kobiet hottentockich a ojców europejczyków. Pomięszanie ze sobą kilku szczepów wpływa częstokroć pomyślnie na następców. Narody przeważnie panujące na ziemi są narodami mięszanemi, jak np. Anglicy, potomkowie celtów, brytańczyków, anglosaksonów, rzymian i normandów,—francuzi powstali z celtów, rzymian i franków. Pomieszanie dwóch odrębnych rass wpływa uszlachetniająco na rassą słabiéj rozwiniętą tak pod fizycznym jak i umysłowym względem. Doświadczenie zaś wykazuje, że wiele ludów mieszanych, pochodzących z różnych rass i szczepów, nietylko mogą się utrzymać i rozradzać, ale nawet łącząc się pomiędzy sobą niepowracają nigdy do jednego z pierwotnych typów. Niektóre ludy ze skrzyżowania rass lub szczepów powstałe, zachowują przez długie pokolenia swoje właściwości. Jako przykład dopiero co wspomnionego zdania przytaczają wypukłe piersi hiszpanek, które to kształty według niektórych antropologów są pochodzenia arabskiego; mają być bowiem odziedziczone po maurach, niegdyś przemieszkujących jako zdobywcy na Iberyjskim półwyspie. Rozmaitość w budowie czaszek i w ogóle w zewnętrznych formach ciała, u jednego i tegoż samego ludu, każe się domyślać iż lud ten powstał ze skrzyżowania odmiennych rass lub szczepów, jak to ma np. miejsce u czuwaszów. *(d. n.)*

(*) Powinniśmy tu dodać, że wiele szczepów uważanych jest za oddzielne rassy, przez antropologów, którzy tych ostatnich (rass), znaczną przyjmują liczbę (patrz wyżéj, na początku niniejszego szkicu).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

EPIDEMIA.

Dramat w czterech aktach

przez **Józefa Narzymskiego.**

(*Pierwsze przedstawienie dnia 26 Września*).

Zdarzają się w życiu klęski których nie zapowiada żadna groźba wyraźna, żaden znak dostrzegalny w górze lub w dole, blizko czy gdzieś na daleką metę—w przestrzeni. Niebo niechmurzy się nad tobą, ziemia nie drży pod stopami twemi—otacza cię wesołość, otucha, dostatek.... Naprózno wśród znajomych i nieznanych osób szukałbyś niechętnéj twarzy—wszędzie znajdujesz przyjazny uśmiech, i życzliwe słowo. Nie ma dla ciebie niebezpieczeństwa—zkądby się też wzięło?...

A jednak przychodzi nagle... spada jak lawina, uderza jak grom. Imię jego: *zaraza!*

Zbyt wrażliwych i lękających się o „szlachetne zdrowie" swoje, czytelników uprzedza się, że choroba o któréj mówić mamy z powodu drammatu Józefa Narzymskiego nie doszła jeszcze do nas i należy spodziewać się że ominie całkiem naszą błogosławioną miejscowość.

Jesteśmy usposobieni do wielu innych rodzajów *epidemii*, ale żebyśmy w szale giełdowym mogli przegrywać krocie i miliony, na to już trzeba silniejszéj chyba.... ekonomicznéj kompleksyi.

Spokojni zatém o własną kieszeń i pełni ufności że zły przykład nie skłoni nas do nadużycia, zmierzmy wzrokiem ciekawych lecz biernych świadków toń pochłaniającą kapitały pp. Karwackich, Przykulskich, Kwockich, Drzymalskich, którzy niezdoławszy zająć równie obronnego stanowiska poddali się zawrotowi *złotéj* gorączki.

Są to rycerze giełdy. Różne ich pojęcia, wieki i przymioty, walczą oni przecież i wytępiają się nawzajem pod wspólnym sztandarem. Kobiety nieustępują mężczyznom, dzieci rodzicom, czeladź chlebodawcom. Obok podstarzałéj amazonki staje do szeregu gołowąsy harcerz a daléj poważny ojciec rujnuje swoją wygraną współzawodnika—syna, nim przegrawszy z kolei, ogołoci całą rodzinę. Po stoczonéj bitwie mężny zastęp rozprasza się w nieładzie: jedni idą do więzienia jak Artur Kwocki, drudzy giną od razu jak Drzymalski, innych zbawia jałmużna jak to stało się ze starym Karwackim.

Sam tylko wódz zwycięża. Gdy reszta zapastników poległa w krętych wąwozach giełdy, lub niezdolną jest odtąd do wznowienia boju, on sam obciążony łupem wraca z miejsca porażki do domu.

Dzielny ten obywatel kraju w białych rękawiczkach, i z pargaminową twarzą zwie się w dramacie: p. baron Goldszmit. Godzina przesileń finansowych nie jest dla niego tajemnicą—przeciwnie, wybija ona zwykle wtedy gdy baron w widokach obfitéj dla siebie korzyści posunie wskazówki oznaczające *zwyżkę* (*hausse*) lub *zniżkę* (*baisse*). Od tego poruszenia południe zmienia się niespodzianie w północ na zegarze wypadków giełdy. Ci co byli na wyżynie spadają gwałtownie na dół, ci co spadli dźwignąć się już nie mają siły. Zyski ich, mienie, cześć nawet pozostały w ręku zręcznego kierownika, który w porozumieniu się ze swoją ligą kręcił od początku tym dyabelskim młynem.

Lecz nieruchome oblicze barona w grze Żółkowskiego nieożywia się bynajmniéj w chwili tryumfu. On przewidywał co nastąpi, urządził zasadzkę na pewno—i czekał. Obecnie zaś pokonawszy lekkomyślną rzeszę nie czuje zadowolenia zwycięzcy. To czego żądał spełniło się, bo spełnić się musiało. Komedya przyniosła mu pożytek, ale nie mogła sprawić effektu.

Nie chodziło też wcale Goldszmitowi o wrażenia. W charakterze jego odszukałbyś więcéj obojętności rzeźnika niż popędów dzikiego bohatera. Okrucieństwo jego względem swych ofiar zimne, prawidłowe, obrachowane na miarę zysku wolném było od nienawiści; upokarzał on ludzi bez gniewu, łamał bez zawziętości, gnębił z pogardą.

„Niepraktyczni!" wyrzekł niedawno jeden z takich oprawców stosując naganę do społeczeństwa któremu zawdzięczał plony swojéj dwuznacznéj *praktyczności*.

Wyraz ten określa nader trafnie stosunek podobnych wyzyskiwaczy do wyzyskiwanych, na scenie zaś przyglądnąć on uparcie do spojrzeń, słów i gestów Goldszmita. „Niepraktyczni—więc sami sobie winni, więc przeznaczeni na zgubę"—oto myśl ujawniająca się w postaci barona—bankiera sztywnéj i lichéj z pozoru, lecz sprężystéj i strasznéj w czynie. Zdaje się jednak że autor dramatu starał się przedstawić wodza giełdy trochę inaczéj, jaskrawiéj i żywiéj nieco, niż go w swéj roli uwydatnił Żółkowski. To prawda, że p. baron ceni nadewszystko mamonę, ale zdobycz pieniężna nie zadawala w zupełności jego instynktów. Kocha on jeszcze—kobietę.

Miłość Goldszmita jest także żądzą posiadania, skłonnością zmysłową i drapieżną. Nie liczy on na wzajemność Maryi, córki Karwackiego (rola p. Bakałowiczowéj) nie troszczy się nawet o wyrugowanie z jéj serca kochanka. Dla zaspokojenia jego pragnień wystarcza zabor materyalny, wszystko jedno: gdzie i jakim sposobem da się on bezkarnie uskutecznić—na giełdzie czy przed ołtarzem. Goldszmit wyznaje że nie lubi gwałtów, ale skoro tego trzeba do osiągnięcia celu, nie zawaha się przed żadną ostatecznością: intryguje śmiało, zadaje ciosy prędkie i co rozpoczął podstępem, to kończy bezwstydem.

— „Marya musi być moją” postanowił Goldszmidt.

— „W rodzinie Karwackich nie znoszą czosnku i cebuli” odpowiedział ojciec Maryi.

P. baron zgrzytnął zębami i działał.

Środki których teraz zamierzał użyć dla pozyskania ręki Maryi były nie łatwe i takie mianowicie jakich bankier „nie lubił.”

Goldszmit wezwał do pomocy Artura Kwockiego.

Urodzony z Kiszkowskiéj młody Arturek zgrał się właśnie na giełdzie i nie mogąc zapłacić długów sfałszował weksle z podpisem matki. Wiedział o tém baron, lecz milczał cierpliwie, oczekując według zwyczaju sposobności skorzystania o ile można najwięcéj ze swego odkrycia. Nakoniec zażądał zwrotu pożyczki. Matka Artura nie przeczuwając udziału syna w szalbierstwie, oświadczyła że podpisy jéj sfałszowano, i na zapewnienie barona że wolną będzie od płacenia weksli, jeśli złoży stosowną deklaracyę, słowa swoje stwierdziła pismem. Otrzymawszy upragniony dokument Goldszmit przywołał winowajcę.

— Jakto, matko? ty zapłacić nie chcesz?...oburzył się jedynak.

— Nieszczęśliwa gra na giełdzie... tłomaczył baron.

— Na giełdzie? Ty, matko, grałaś na giełdzie? Ah ślicznie... Teraz rozumiem dla czegoś synowi odmawiała wszystkiego, zmuszając go rzucić się w szpony lichwiarzy. Ah! dla syna nie było, bo pani grała na giełdzie... i t. d.

Energiczny to rys zepsucia i najbarwniejszy ustęp w roli Kwockiego... Umyślnie czy też skutkiem chwilowego nieusposobienia p. Szymanowski osłabił grozę téj sceny trzymając się stale w granicach chłodnego cynizmu. W Arturze zarówno jak i w Goldszmicie nieczułość idzie w parze z wybuchami namiętności, których oddanie wymagało pewnego stopnia *werwy* nieszkodzącéj *charakterystyce*. Uwagą tą wszakże niechcemy uwłaczać grze p. Szymanowskiego w roli Artura, wykonanéj zdolnie, przypominamy tylko (o czém nadmienialiśmy dawniéj), że w sztuce drammatycznéj, nie dość jest zachować *prawdopodobieństwo*, lecz należy jeszcze być *prawdziwie zajmującym*.

Taką umiała okazać się pani Palińska w roli Kwockiéj, a trudniéj jéj to przyszło niż innym artystom w „*Epidemii*” gdyż śmieszność pobożnéj damy już w samym utworze Narzymskiego graniczy o włos z przesadą. Ow „Syn Kiszkowskiéj, wychowaniec jezuitów” powtarzany w ciągłych wykrzyknikach, niemałym jest kamieniem obrażenia dla artystki podejmującéj się odwzorować próżną gadatliwą a chytrą dziwaczkę, jaką w różnych okolicznościach przedstawia się Kwocka. Do tego trudnego tonu p. Palińska nastroiła całą swoją rolę, cieniując ją pracowicie z doskonałém pojęciem szkopułów, i z talentem który posiada w sobie dostateczne siły, żeby przejść bez szwanku po ślizkich ścieżkach kompozycyi.

Kwocka usłyszawszy gorzkie wyrzuty syna, nastraszona przytém pogróżkami Goldszmita, z rezolutnéj kumoszki salonowéj, stała się nagle potulną kobieciną, gotową do przyjęcia wszelkiéj rady byle wybrnąć z kłopotów. Godny jéj syn podzielał w tym razie zdanie mamy, a nawet przywyższał ją w posłuszeństwie baronowi.

Bankier podawał tylko jedną deskę ocalenia. Żeby wykupić fatalne weksle Artur powinien był postarać się o fundusze zwyczajną drogą, z dodatkiem nadzwyczajnego manowca, to jest powinien był ożenić się z posażną Maryą Karwacką. Ale radzące grono przewidywało bardzo rozsądnie że zalotnik dostanie odprawę, jeśli nie dopomoże sobie odwagą i przebiegłością. Uważano że należy wprzódy zniesławić pannę w opinii publicznéj,

Zgodziwszy się na plan ohydnéj zdrady, *trio* łotrów nierównéj potęgi rządziło się też nie jednostajnym poglądem:

Wychowaniec jezuitów mówił: cel usprawiedliwia środki.

Kwocka myślała: dobry ksiądz Hiacynt przebaczy.

Goldszmit zaś wydał rozkaz aresztowania Artura niezwłocznie; w miejscu gdzie odbędzie się skandal.

Spiskowcy rozstali się, a nazajutrz z rana dzienniki ogłosiły że przy ulicy N. policya starała się zatrzymać oskarżonego o fałszerstwo pana Artura Kwockiego w chwili gdy tenże spuszczał się o pół nocy po sznurowéj drabinie z pokoju panny N. żegnającéj czułemi słowy kochanka. Zbrodniarz zdołał umknąć powaliwszy jednego z agentów policyjnych strzałem pistoletu.

Marya więc została skompromitowaną.

Był to nowy cios dla Karwackiego. Przed tém, nim uległ epidemii, ojciec Maryi w przekonaniu sąsiadów spełniał nieskazitelnie swój zawód obywatelski, choć może nie potrafił czynić zadość wyższym jego obowiązkom. W pierwszéj scenie dramatu odmówił on narzeczonemu córki Bolesławowi Stawińskiemu współdziałania w interesie korzystnym dla przedsiębierców i pożytecznym dla ogółu, niechcąc narażać cząstki swych kapitałów na możebność klęski. Lecz wkrótce potem, dotknięty zarazą wielkich zysków poświęcił giełdzie cały majątek i po nietrwałem powodzeniu stracił wszystko co miał w gotówce, doczekawszy się téj pociechy że syn jego za namową Artura Kwockiego sfałszował weksle żeby grać na giełdzie za przykładem własnego ojca. Królikowski wzorowo odtworzył tę chwiejną, uczciwą a zbłąkaną naturę dojrzałego człowieka, starca już prawie, który grzeszy pociągnięty prądem widocznie obcym dla siebie, przekształca się potwornie na schyłku życia, i w chwili upamiętania się ciężko nad upadkiem swoim boleje. Piękną jest scena, gdy Karwacki dowiedziawszy się o potwarzy rzuconéj na Maryę ze spojrzenia córki odgaduje jéj niewinność.

Narzeczonego Maryi, Bolesława, przedstawiał pan Tatarkiewicz. Przy końcu drugiego aktu Stawiński znika ze sceny obrażony przez Karwackiego—i zjawia się dopiero w akcie czwartym. Podczas téj nieobecności, słyszymy o nim, że pracuje gorliwie, zarabia wiele i wzbogaca kraj owocem swoich zabiegów. Rycerze giełdy żartowali z niego dziwiąc się że przyszło mu do głowy osuszać bagna. I rzeczywiście osuszał je na współkę z żydem, który jeden z licznych słuchaczy Bolesława ocenił należycie wartość projektu odrzuconego przez całe gremium chrześcian.

Stawiński przybywa do domu swéj narzeczonéj w porze nader krytycznéj: Marya dogadzając życzeniu ojca postanawia wyjść za mąż za Goldszmita (chwila najważniejsza w roli pani Bakałowiczowéj, oddana przez artystkę wiernie i z głębokiem przejęciem się sytuacyą), miłość dla rodziców góruje wyżéj sercem nad uczuciem kochanki, gwoli więc temu przywiązaniu sposobi się na sprzedaż i krzywoprzysięstwo.

Niedorzecznie zrobiła — niech ją Bóg ma w swojéj opiece, ale cóż było począć z warunkami sceniczności którą tak często zalecano Narzymskiemu?

Palnąć ojcu *verba veritatis* i obdarzyć nienawistnego konkurenta grochowym wiankiem? Fi donc, co za prostacka idea!...

Tymczasem Karwacki namyślił się palnąć... sobie w łeb. Już, już brał za pistolet gdy w tem usłyszał głos za sobą:

— Witam szanownego pana!

Uczynić to musimy wymówką Stawińskiemu że z powitaniem swojém spóźnił się trochę, a raczéj zawcześnie wszedł na scenę. Nie wspaniałomyślnie było z jego strony napawać się widokiem rozpaczy przyszłego teścia. Błąd to autora, ale reżyseryi należało naprawić tę przykrą a łatwą do sprostowania omyłkę.

Uchybienie swoje nagrodził jednak w części Stawiński przynosząc strapionéj rodzinie okup zdobyty na bagnach. Za to wchodzącego Goldszmita przyjęto niezbyt gościnnie.

— Precz! krzyknął Stawiński dość miękkim tonem na tak srogi wyrok... Zapewne zmięszały go cokolwiek słowa bankiera.

— Aj! aj! a gdzie wasze fortuny? gdzie chleb waszych dzieci? gdzie honory wasze? U mnie w kasie...

I pan baron miał słuszność. Utonęły w jego kasie.

O ile mogliśmy zauważyć „Epidemia” podobała się bardzo publiczności. Nie jestto wszakże posągowe dzieło sztuki. W dramacie tym niema ani typów mistrzowsko wykończonych, ani scen wzruszających do głębi, ale pociąga on widzów obfitością szkiców, akcyą dobrze utrzymaną, zacnym pomysłem — i usiłowaniami najzdolniejszych warszawskich artystów. Wspomnieliśmy już o wykonaniu ról głównych dodajmy że mniejsze dopomagały także do powodzenia całości. Lokaj Karwackiego (p. Damse) pokojówka Zuzia (panna Gilska) Przykulski (pan Chomiński) wyróżnili się talentem swoim a może tylko wydatniejszemi rolami z pomiędzy innych rycerzy giełdy, smutnych ofiar „Epidemii.”

KRONIKA.

Idealny podział roku na cztery odmienne pory, dziwne nieraz wywiera wrażenie na niektóre umysły i usposobienia. Są ludzie dla których linie demarkacyjne oznaczone w kalendarzach pewnemi symbolicznemi illustracyami wyobrażającemi odrębne postacie i naprężenie życia w naturze, tak się wyraźnie przedstawiają, jak odmiennem wydaje się im powietrze różnych krajów w miarę przebywania granic geograficznych, jak widocznemi są według nich rozgraniczenia epok w dziejach ludzkości. Praktycznie rzeczy biorąc nic w tém nie ma zdrożnego; człowiek całe życie spędza w pewnych idealnych rozróżnieniach; krótką chwilę swego istnienia na ziemi dzieli naprzykład na pewne wedle liczb ściśle jakoby oznaczone peryody: w istocie zaś rzeczy, stroi się w pozory dojrzałości wtedy gdy wszystko w nim jeszcze odbywa pierwszą fermentacyę życiową,—lub też blady odblask jesiennego południa chciałby wydać za ranek wiosenny. Ta możność przesuwania dowolnego idealnych granic, ta niepewna ale istniejąca zawsze nadzieja, że to co w tych granicach bywa dobrego przedłuży się jak najdaléj, złe zaś potrwa jak najkrócéj — stanowi często kompensatę za wszystko cokolwiek w tych podziałach cięży na człowieku jako fatalne prawo natury, lub jako brutalna siła faktów. Wiosna, lato, jeesień, zima — to cztery

wyrazy, którym odpowiadają niby ściśle określone i różne pojęcia; treść ich nakreślona przez przyrodę raz na zawsze—to przecież nie przeszkadza człowiekowi odnoszącemu wszystko do siebie, spodziewać się, że lato przeciągnie się dla jego przyjemności kosztem jesieni, lub zima skurczy się na korzyść wiosny. Kursujący zresztą ogólnik, prawdziwy jak wiele innych ogólników: o powabach polskiéj jesieni—pomaga niejednemu do kołysania się temi złudzeniami—czeka więc owego nieprawnego suplementu ciepła i rozkoszy letnich, wącha astry, georginie i słoneczniki, zamiast nieobecnych róż i fijołków, chodzi w letnich ubraniach, mieszka uparcie na letniem mieszkaniu, kąpie się w letnich łazienkach, uczęszcza do letniego teatru i dzwoniąc zębami przy tych wszystkich przyjemnościach, powtarza zawzięcie:



Rumunka. Kopia z obrazu M. A. Godlewskiego.

— Poczekajcie, to wszystko nic,—jeszcze będzie ciepło!

A tymczasem, opadają liście, wichry wyjęku-

ją swoje żałosne skargi, drzewa cynicznie się obnażają... natura przywdziewa na siebie szatę tęsknoty i melancholii... człowiek ubiera się w palto watowe.

* * *

To wejście w palto watowe, jest zarazem chwilą wejścia w siebie. W usposobieniach ludzkich zachodzą pewne charakterystyczne zmiany... Minione rozkosze *świeżego powietrza* zaczynają się już w umysłach przedstawiać w ciemnych i mglistych konturach. Stateczność, domatorstwo, biorą górę nad motylkową lekkością i sielankowemi uniesieniami—każdy gotów nie Szwajcarskiej niezgorzéj się powodzi, a publiczność jest tego zdania, że w muzyce koloryt ogni bengalskich więcéj znaczy, aniżeli najlepsza instrumentacya. Rozproszyła się też *la bohême* dramatyczna. Skorzystały na tém sceny prowinyconalne, które pokompletowały się z rozbitków Tivoli, Eldorado i Alhambry, skorzystał przedewszystkiem p. Sarnecki, który skrzętnie z tych żywiołów organizował towarzystwo dramatyczne dla teatru poznańskiego, ale wielka luka świeci za to na deskach afiszowych po rogach ulic i smutek wielki panuje po opustoszałych scenach ogródkowych. To melancholijne mi skargami nad zapoznanemi talentami. Odczyt więc p. Moszyńskiego miał raczéj tylko symboliczne znaczenie,—było to po odlocie świegotliwych ptaszków wędrownych, pierwsze chrapliwe kraknięcie zwiastuki zimy nawołujące nas do powagi na całą seryę najrozmaitszych prelekcyj, konferencyj i pogadanek o różnych rzeczach i o wielu innych. Na zastąpienie tych wszystkich braków, które wyżéj wymieniłem, mamy: maryonetki grywające, „Fausta” tragedyę Getego, co dowodzi że automatom nawet łatwiéj to przyszło jak naszemu teatrowi, w którym projekt przedstawienia tego arcydzie-



Ogólny widok Malborga.

już tylko na słowo uwierzyć Gustawowi Fredry, utrzymującemu, że:

„W jesieni, w jesieni, także tam coś bywa”

Na słowo powtarzamy... bo gdyby tak w istocie poszukać czegoś, co o téj porze bywa w Warszawie byłoby się w niemałym kłopocie... łatwiéj chyba powiedzieć czego nie ma — Niema naprzykład Bilsego... Maestro ulotnił się z dymem fajerwerków, przekazawszy tylko pp. Lewandowskiemu i Kuhnemu tę zasadę Moltkego że podboje moralne nawet w sferach harmonii i melodyi dobrze jest dokonywać z poparciem wystrzałów. To też orkiestrze naszéj w Dolimilczenie raz tylko przerwał w Eldorado p. Moszyński artysta truppy prowincyonalnéj i przemówił do nas nie śmiechem Talii lub tragicznym okrzykiem Melpomeny, lecz głosem... prelegenta rozpowiadającego zgromadzonéj publiczności „o stanowisku aktora w obec wymagań publiczności.” Szkoda wielka, że prelegent uganiając się za historyczną gruntownością, zbyt skąpo traktował o tém co właśnie najbardziej zająć mogło słuchaczy, którzy w téj pogadance spodziewali się usłyszeć więcéj szczegółów z praktyki życia towarzystw prowincyonalnych, a przedewszystkiem nie przyszli się roztkliwiać elegijnela lata już całe dojrzewa;—mamy teatr letni w którym przy wszystkich wejściach porozstawiano przyrządy do leczenia paraliżów, naładowane elektrycznością indukcyjną dla pozytywistów, a dedukcyjną dla zwykłych śmiertelników; nareszcie mamy człowieka piszącego bez rąk który według mnie nie jest bynajmniéj takiem dziwowiskiem, w porównaniu, z tylu ludźmi piszącemi bez głów!.. I oto wyczerpaliśmy cały program rozrywek w chwili obecnéj, ubogo się przedstawiający dla tych co jeszcze nie pozbyli się letniéj gorączki rozwywkomanii. Dodajmy do tego, że dla obu naszych teatrów następują dość tru-

dne czasy; zapanować w nich bowiem musi przeważnie dramat i komedya które pracować będą na rozproszoną i rozbitą operę miejscową, a co gorzéj na obcą odwiedzającą rok rocznie naszą gościnną scenę. Wiadomo jak niedawna emigracya kilku artystów uszczupliła siły naszéj opery. Wkrótce jeszcze nam zbraknie panny Czechowskiéj któréj kontrakt się kończy, a brak nam już p. Kozieradzkiego reżyserującego w najlepsze między gwiazdami pierwszéj wielkości. Pożegnał przynajmniéj p. Kozieradzki scenę warszawską dobrą buffą braci Riccich p. t. „Doktór Kryspin" w któréj i sam główną rolę odegrał, i kolegów natchnął snać werwą komiczną, bo całość poszła bardzo przyzwoicie. Zresztą i opera ta mile się słucha; należy ona do tych utworów które nie celują oryginalnością,ani świetnością pomysłów, — ale zostawiają po sobie wrażenia rzetelnie i z szacunkiem dla sztuki obrobionego dzieła. Komizm w utworze braci Ricich jest zawsze szlachetny, nie zarażony trywialnością a ni cynizmem Ofenbacha i do szczerego śmiechu słuchaczów pobudza. Wspomniawszy o przyszłéj mozolnéj działalności naszego dramatu zakończę wiadomością w sferze pogłosek i przypuszczań jeszcze krążącą: o przedstawieniu na benefis pani Modrzejewskiéj dramatu Wiktora Hugo „Marion Delorme" w przekładzie p. Wacława Szymanowskiego... Zapowiedź pierwsza!

* * *

Z ogólnéj charakterystyki usposobień jesiennych wypływa tedy że warszawianie przerzucić się całkiem mają *w zamknięte przestrzenie* w których szukać muszą czy to pokarmu umysłowego, czy też zabaw rozlicznego rodzaju, czy też powabów domowego ogniska. Może dobrą obrał chwilę p. Korpaczewski rozpoczynając od 1-go Października wydawnictwo pisma „Ognisko domowe". Publikacyi uwzględniających potrzeby duchowe „rodziny" w wielkiem tego słowa znaczeniu,—nigdy nie jest za wiele,—witamy też z życzliwością tego młodego przybysza. Pierwszy październik jest także terminem rozpoczęcia nader pożytecznego wydawnictwa w Krakowie p. t. „Biblioteka umiejętności przyrodniczych". Biblioteka wydawana pod redakcyą pana Ludwika Masłowskiego, obznajmić ma publiczność z dziełami Tyndalla, Chambersa, Odlinga, Huxleya, Johnstona, Lewesa, Lyella, Cl. Bernarda, Naquet'a, Onimusa, Delechampsa, Grimaux, Burmeistra, Kleina, Wundta, Helmholtza, Secchiego i t. p. Gdy obok tych nazwisk spostrzegamy nazwiska najznakomitszych professorów uniwersytetów krakowskiego, warszawskiego i Lwowskiego wchodzących w skład komitetu redakcyjnego, — gdy nadto redakcya zapewnia nas że w skład „Biblioteki" wejdą takie dzieła „które rzeczywiście popularyzują prawdziwą wiedzę", nie zaś przedstawiające „domysły za teoryę, mrzonki za hipotezy a hypotezy za pewniki naukowe;" możemy tylko przyklasnąć tak pożytecznemu i poważnie zrozumianemu przedsięwzięciu.

* * *

Przeciwdziałanie tym „domysłom mrzonkom i hypotezom" staje się tém pożądańszém, im fatalniéj one poczynają być stosowane do pojęć o prawach i obowiązkach człowieka, rozpatrywanych dziś coraz częściéj ze stanowiska instynktów naturalnych, zamiast z punktu poczucia moralnego. Pisma nasze donosiły niedawno o smutnych faktach nadużycia zaufania w kantorach bankierskich, którego dopuszczają się młodzi ludzie uciekający od swoich pryncypałów z mniéj więcéj znacznemi summami pieniędzy. Prasa nasza jednozgodnie same fakta kradzieży potępiła; tu i owdzie tylko usiłowano wynajdywać okoliczności łagodzące: a mianowicie złe obchodzenie się pryncypałów z podwładną im młodzieżą, skąpe wynagrodzenie téj ostatniéj i t. p. Że w hańbiących tych wypadkach, pryncypałowie sami nie są bez winy,—to nie ulega wątpliwości; ale żeby małe wynagrodzenie oficyalistów kantorowych upoważniało ich do poprawienia sobie losu w ten sposób, to już doprawdy rozumowanie nieco.... ryzykowne. Szukając głębiéj przyczyny tych bolesnych symptomatów, znaleźlibyśmy ją może w przenikającéj dziś coraz głębiéj doktrynie *walki o byt* niszczącéj w człowieku wszelkie poczucie obowiązku, którego miejsce zajmuje ubóstwianie siły lub zręczności. Nie należymy bynajmniéj do téj falangi moralistów, która gotowaby wszystkie szkarady moralne włożyć na karb Darwinowi; znakomity uczony tyle tu winien ile Eugeniusz Sue napisawszy „Żyda Tułacza" winien był zbrodni Traupmanna, który jak wiadomo w czytywał się w tego romansopisarza; ale niech się tu uderzą w piersi ci wszyscy, co drapieżną teoryę prawdziwą w zakresie ślepego życia zwierzęcego, przenoszą na pole społeczne, stawiając ją za normę stosunku jednostki do społeczeństwa. Walka o byt wyłącza wszelką, najszerzéj nawet pojętą moralność — i będzie jeszcze przyczyną nie jednego upadku nie jednéj klęski moralnéj, jeżeli przeświadczenie o potrzebie pracy, jedynego środka wywalczenia sobie bytu, nie wyruguje artykułów czworonożnéj etyki.

* * *

Ze sfery pracy cichéj prowadzonéj bez rozgłosu, bez reklamy, donosimy czytelnikom o rozpoczęciu działalności „Spółki połączonéj pracy kobiet" powstałéj z inicyatywy pani Pauliny Kuczyńskiéj. O zawiązku téj zacnéj myśli, i wypracowaniu jéj strony formalnéj wspominaliśmy w swoim czasie wraz z innemi pismami; od tego czasu mało kto wiedział cokolwiek o losach tego przedsięwzięcia, zasługującego pod każdym względem na uznanie i poparcie ogółu. Pierwsza to spółka u nas podobnego rodzaju, oprócz bowiem celów materyalnych ma na widoku stronę moralną biednych pracownic utrzymujących się z robót ręcznych. Zebrać ona pragnie rozproszone siły pojedyncze, połączyć w jedną całość i utworzyć ciało zbiorowe na samo-pomocy oparte. Każda uczciwa kobieta znajdzie w spółce opiekę moralną i pomoc materyalną; wrazie nieszczęścia znajdzie niejako rodzinę, do któréj w każdéj złéj chwili udać się może. Założycielek Spółki zapisało się siedm i one głównie złożyły kapitał zakładowy (po 500 rubli każda). Wspólniczek udziałowych dotąd jest wpisanych 9 z nich każda wniosła po rs. 100; uczestniczek z kapitałem rs. 15 każda zapisało się 18; a na stałe pracownice spółki 13, które jako kaucyę wniosły od 10 do 5 rubli. Spółka zatém składa się z założycielek wnoszących po rsr. 500; wspólniczek udziałowych po rsr. 100 i pracownic stałych po rsr. 5 najmniéj wnoszących, które z czasem po dojściu ich oszczędności do rsr. 15 stają się uczestniczkami a następnie i wspólniczkami. Każda ze wspólniczek i pracownic stałych w razie choroby korzysta z bezpłatnych lekarstw i rad lekarskich,—w nadzwyczajnych wypadkach otrzymywać może i wsparcia pieniężne. Spółka nie ograniczy swéj działalności na saméj Warszawie, lecz ma zamiar wéjść w stosunki handlowe ze znaczniejszemi miastami Cesarstwa, a tą drogą postępując zapewne cel tak materyalny jak moralny osiągnie.

Do historyi pracy kobiet może nam przybyć nowy przyczynek w formie rozprawy na którą „Przegląd Tygodniowy" ogłosił konkurs w Nr. 36. Konkurujący mają złożyć „Opis i rozbiór najnowszych postępów w sferze działalności i pracy kobiecéj jakie wykaże przyszła w 1872 roku odbyć się mająca wystawa powszechna w Wiedniu." Jestto jeden z trzech konkursów ogłoszonych przez Redakcyę tego pisma z trzema premiami po 100 rubli każde. Druga rozprawa ma zawierać „Opis oddziału pedagogicznego na przyszłéj wystawie wiedeńskiéj z uwzględnieniem tych metod i przedmiotów, które w domowém i elementarném wychowaniu przeważną rolę odgrywają i do nas zastosowane być mogą." Trzeci kokurs wyznacza temat „Opis i rozbiór najnowszych wynalazków i ulepszeń środków technicznych na tejże wystawie znajdujących się w zastosowaniu do rzemiosł." Nie wątpimy, że obecne przedsięwzięcie zainteresuje ogół więcéj, aniżeli poprzedni pomysł Redakcyi na którego urzeczywistnienie zebrała się już nawet kwota rozdzielona obecnie między trzech przyszłych zwycięzców konkursowych.

* * *

Wartoby doprawdy, aby na ową Wystawę w Wiedniu posłał swój dowcipny przyrząd pan Liwczak wynalazca tak zwanego *stereografu*, maszyny do składania, upraszczającéj znakomicie tę część typografii która obecnie zowie się robotą zecerską. Mechanizm układania czcionek drukarskich, pomimo całéj wprawy do jakiéj doszli w téj pracy zecerzy, jest zawsze niezmiernie mozolny i wiele zajmuje czasu. Stereograf p. Liwczaka, ma podobno usuwać wszystkie te niedogódności, zamieniając całą techniczną stronę roboty zecerskiéj na proste uderzanie w klawisze odpowiadające głoskom alfabetom, znakom pisarskim i t. p. Za pomocą tych uderzeń i lekkiego naciskania nogą pedału,—mechanizm trochę tylko większy od maszyny do szycia wytłacza litery na deszczułkach metalicznych i ustawia je w wiersze z zachowaniem potrzebnéj przestrzeni między literami, słowem przygotowywa stereotyp metaliczny dokładnością wyrównywający stereotypom otrzymanym przy zwykłém składaniu zecerów. Z przygotowanych w ten sposób deszczułek układają się kolumny które położone na zwyczajną prasę drukarską, dają jaknajlepsze odbicie. Na tém jednak nie koniec bo po wydrukowaniu, deszczułki owe wygładzają się za pomocą walców i mogą być na nowo użyte. Cywilizacye stykają się czasem w dziwny sposób... ktoby się bowiem spodziewał że myśl Guttenberga w wydoskonalaniu swojém powróci do przekształconéj tylko na sposób nowożytny tablicy woskowéj i stylusa! Oddawszy pomysłowości pana Liwczaka należny hołd, spojrzmy teraz na jego przyrząd z innego punktu zapatrywania. Dotychczas kochany czytelniku błogosławiłeś niejednokrotnie drogę pełną cierniów i ostrych kamieni która oddzielała natchnione kałamarze twoich znajomych, niewydanych a zapoznanych poetów, od prasy drukarskiéj warczącéj u niewzruszonych jak skała wydawców. Dziś ze strachem spoglądać będziem na znaczne skrócenie jakiemu droga ta w skutek wynalazku panu Liwczaka uległa: Wystaw sobie tylko tych młodych synów Apollinowych żyjących o chlebie i wodzie dla zaoszczędzenia sobie na maszynę... do składania... Wystaw sobie jak po urzeczywistnieniu swych marzeń siadają duchem wieszczym ożywieni i przyłożywszy ręce do klawiszy a nogi do pedałów rozpoczyna niebiańską muzykę myśli... wygrywając swoje ideały na fortepianie... typograficznym!... A potem? zapytacie, — a potem... czyż poetom wiele potrzeba?...

kilka liber zwykłego papieru, trochę szuwaksu zamiast farby.... i szczotka od butów zastępująca prasę, — oto wszystko... książka wydrukowana jest choćby w jednym egzemplarzu... dla przyjaciół. Biedni przyjaciele!... ale cóż chcecie cywilizacya ma takie swoje fatalności!

* * *

Zamykając rachunki ubiegłego miesiąca, wypada nam zapełnić smutną rubrykę śmierci wpisawszy do niéj nazwiska dwóch zasłużonych krajowi obywateli, W dniu 3-m września zmarł w Warszawie ś. p. August Heylman Rzeczywisty Radca stanu b. członek b. Rady stanu Królestwa Polskiego członek Warszawskich Departamentów rządzącego senatu i członek Konsystorza Jeneralnego ewangelicko-augsburskiego. Ś. p. Karol August urodził się w Księstwie poznańskiemu w 1796 r. a wcześnie utraciwszy rodziców przeszedł o własnych siłach i z odznaczeniem się liceum warszawskie, w roku zaś 1815 studyował prawo w Berlinie i Getyndze. W 1818 r. powrócił do Warszawy a złożywszy egzamin na stopień magistra praw w uniwersycie aleksandryjskim wstąpił na aplikacyę sądową. W ciągu téj praktyki aplikacyjnéj powołany został do Kommissji sprawiedliwości — w roku 1830 przeszedł na podprokuratora w sądzie apelacyjném—w roku zaś 1861 wezwano go na członka b. rady stanu. W ciągu całéj koryery sądowéj, w któréj kierował się zawsze rzadkiem poczuciem ważności swego powołania, Heylman uprawiał gorliwie niwę literatury prawniczéj. Pierwsze jego prace drukowane były w piśmie prawnem (1828—1830) p. t. *Temis polska.* Później drukował inne prace większe i mniejsze w Bibliotece Warszawskiéj i w różnych pismach perjodycznych. Działalność swoją Heylman rozwijał w kwestjach ściśle specyalnych, mało podejmowanych rozbierając je z niezmierną gruntownością i głęboką znajomością przedmiotu. Monografie też jego pióra pozostaną wzorami w historji naszéj literatury prawnéj.

Teodor Wosiński Dyrektor Główny Komisji sprawiedliwości należał również do grona zasłużonych pracowników około dobra kraju. Zmarły w dniu 4-m Września, przechodził też wszystkie stopnie w hierarchii sądowéj począwszy od asesora sądowego, zostawając wszędzie po sobie wspomnienie człowieka sumiennego, umiejącego cenić każdą uczciwą i rozumną pracę.— Zmarł w wieku lat 69.

BIBLIOGRAFIA.

Pamiętnik Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu. Tom I i II. Paryż. Nakładem Biblioteki Kórnickiéj. 1872.

Garstka pracowników na polu nauki, przebywająca za granicą, związała się w Towarzystwo „celem zebrania i zużytkowania dla kraju sił naukowych po za granicami jego będących." Byłoby ze strony sprawozdawcy rzeczą wprost śmieszną, gdyby w obec zacnego związku rzucił jakiekolwiek wyrazy pochwały,—donioslość tego Towarzystwa oceni każdy, kto choćby pobieżnie zastanawiał się nad znaczeniem nauki w naszych czasach; społeczeństwo każde o tyle dziś kwitnie, o ile bierze udział w ogólnym ruchu naukowym. Nie wątpimy nawet, że wpływ Towarzystwa daleko będzie większy, niżeli ono samo na czele programu swego wypisało: nietylko skupia ono siły po świecie rozproszone, ale może walnie oddziałać na ożywienie naukowe kraju.

Rezultat prac dotychczasowych Towarzystwa mamy w dwóch dotąd wydanych tomach Pamiętnika. Są one przeważnie wypełnione pracami matematycznemi, nie będą się tedy zapewne czytelnicy gniewali, że w ich treść bliżéj nie wejrzymy,—matematyka kto chce zrozumieć, nietylko po jego kraju wędrować musi, jak w poezyi, ale i jego językiem dobrze władać powinien. Matematyka jest podstawą, na której się opiera rozwój astronomii, fizyki, przemysłu, ale ogół oceniać zdoła tylko wartość tych owoców, nie pytając o znaczenie drzew, na których wyrosły; toż nazwiska Cauchego, Lagrange'a Eulera, Gaussa, którzy na zawsze zostaną dowodem potęgi umysłu ludzkiego, ukształconym nawet nie są znane warstwom.

Największéj ilości prac do owych pierwszych tomów dostarczył p. Wł. Gosiewski, magister Szkoły Głównéj warszawskiéj. Pierwsza zwłaszcza jego praca „O sprężystości ciał jednorodnych," godnie rozpoczyna szereg rozpraw towarzystwa;—znaczenie teoryi sprężystości zrozumie każdy, gdy przypomnimy że jest ona przyczyną niesłychanéj rozmaitości ruchów drobnych, cząsteczkowych, które są daléj podstawą wszystkich zjawisk przyrody: drganie powietrza to głos, drganie eteru wypełniającego przestrzeń światową to światło i ciepło promieniste, drganie cząstek ciał to ich ciepło wewnętrzne. Oprócz téj p. Gosiewski dostarczył dwie inne rozprawy; są tu daléj rozprawy dobrze już w nauce zasłużonego prof. lwowskiego Żmurki, oraz zalecających się wytwornością kilka prac Wł. Trzaski i jedna rozprawa p. Jana Nep. Frankego. Nie podajemy tytułów rozpraw, bo i te są równie mało dostępne dla ogółu, jak ich treść. Sądzi się często, że matematyka jest nauką skończoną, że na drodze rozumowania umysł ludzki stanął już na kresach dostępnego mu obszaru, i że teraz potrzebuje tylko stosować zdobyte prawdy matematyczne do ujęcia zjawisk przyrody, lub do zużytkowania ich w pracach przemysłu. Zapoznanie się dopiero z wyższą matematyką uczy, o jakie szkopuły uderza człowiek w górnych sferach rozumowania, jakiemi trudnościami najeżony jest każdy krok naprzód; często droga naprzód obrana tak się nieprzebytą staje, że myśliciel musi się na inną zupełnie zwrócić. W matematyce elementarnéj średnich nawet zdolności uczeń, rozwiązawszy kilka zagadnień algebraicznych, nie cofnie się przed tysiącem im pokrewnych zadań;—o tak ogólne metody jednak tém trudniéj, im się wyżéj posuwamy, w obec każdego nowego zadania matematyk nowych dróg wyszukiwać musi. Na wyszukaniu atoli tych nowych dróg polega głębsze wejrzenie w naturę ciał; bardzo jest rzeczą prawopodobną że dalszy rozwój matemtyki zdziała to dla nauki o elektryczności, co matematyka dotychczasowa zrobiła dla zjawisk światła. Nie można przeto Towarzystwu zarzucać, że się głównie koło matematyki obraca; w tym kierunku zresztą dostrzedz można wpływ otoczenia,—Francya bowiem, co najdzielniejszych wydała matematyków, zawsze jest klassyczną ziemią matematyki.

Z nauk przyrodzonych znajdujemy tu jedną tylko niewielką rozprawę „O nitroglicerynie i dynamicie;" zawiera ona wiele ciekawych szczegółów o tych materyałach wybuchowych, które zdają się mieć wielką przyszłość w sztuce wojennéj, a w pewnym stopniu i w przemyśle (np. do rozrywania skał, brył lodowych i t. p.). Jak się z téj rozprawy dowiadujemy, znaczne ulepszenia w fabrykacyi tych materyałów zaprowadził pan Majewski, który kierował ich wyrobem w czasie oblężenia Paryża. Dział krytyki za to szeroko jest przedstawiony;—znajdujemy tu rozbiory dzieł Niewęgłowskiego (geometrya p. Sągajło, trygonometrya p. Goszewski,) oraz rozbiór rachunku różniczkowego Folkierskiego, który cenny stanowi nabytek w literaturze naszéj naukowéj, skreślony przez p. Sągajłę. Nakoniec napotykamy tu obszerną pracę p. Kucharzewskiego, obejmującą historyę astronomii w Polsce od najdawniejszych czasów. Jest to właściwie nie tylko historya astronomii, bo taby obejmować winna jedynie ludzi, co na postęp nauki wpłynęli, ale obejmuje zarazem przegląd literatury astronomicznéj polskiéj. Bogata w szczegóły rozprawa jest ważnym przyczynkiem do dziejów nauki w Polsce. Pożądaneby były podobne opracowania i innych nauk, na tych podstawach mogłaby się oprzeć historya cywilizacyi w Polsce wskazująca, jaki w różnych czasach był ogólny rozwój umysłowy kraju i w jakim zostawał związku ze stanem kraju politycznym. Tém zresztą ciekawsze byłyby te prace, że o rozwoju innych nauk, po za astronomią, bardzo mało mamy dotąd prac zebranych, do udziału też w tym kierunku Towarzystwo usilnie wzywa pracowników. Na rok przyszły towarzystwo ogłosiło konkurs,— ocenę prac matematycznych Hoene-Wrońskiego. Rodak ten nasz przed kilkudziesięciu laty szeroko zasłynął na matematyczném polu; wystąpiwszy przeciw pierwszym powagom francuzkim, ściągnął sobie zaciętych przeciwników, równie jak gorliwych stronników, wpadł następnie w kierunek mistyczny, a przynajmniéj niejasny, i zwolna zszedł z pola, pozostawiwszy oprócz wielu dzieł drukowanych znaczną ilość prac w rękopismach. W każdym razie była to postać wybitna i umysł niepospolity, z upragnieniem też oczekujemy rozstrzygnięcia tego konkursu, którego termin przypada w dniu jubileuszowym Kopernika,—czy też usłyszymy odpowiedź na pytanie Towarzystwa: kto był Wroński?

Tak więc początek prac Towarzystwa godnie się przedstawia; nie jedna z tych rozpraw byłaby ozdobą roczników starych i zasłużonych Towarzystw naukowych. Nie możemy się jednak oprzeć wyrażeniu życzenia, aby nauki doświadczalne obficiéj były na przyszłość przedstawiane zwłaszcza że wśród bogatych w Paryżu zasobów i pod kierunkiem biegłych eksperymentatorów prace tego rodzaju daleko łatwiéj niż u nas mogą być wykonywane i że badacze mogą następnie sprowadzić do nas biegłość doświadczalną, któréj żadna książka nauczyć nie zdoła.

Pamiętnik wydany jest nakładem biblioteki kórnickiéj, któréj właściciel, pan Działyński, jest prezesem towarzystwa. Pozwalamy sobie jawnie tu oświadczyć że szczupłe grono ludzi poświęcających się naukom ścisłym, szczerą żywi wdzięczność dla męża, który na wydawnictwo dzieł naukowych nie waha się znacznych łożyć nakładów, a wydawnictwa te (prace pp. Niewęgłowskiego, Folkierskiego, cały szereg zapowiedzianych) istotną są piśmiennictwa naszego chlubą i najpilniejsze uczących się zaspakajają potrzeby.

I największy atoli majątek osoby pojedynczéj, i najgorliwsza chęć służenia dobru ogółu nie starczą, gdy w tymże ogóle poparcia nie znajdą, Niechże kupują te książki ci przynajmniéj, dla których niewielki wydatek uszczerbku nie przyniesie, jeżeli nie im samym to ich synom, krewnym dzieła te przydać się mogą; a ręczyć możemy, że długo jeszcze potrzebom naukowym odpowiedzieć będą mogły. Literatura nasza naukowa, na jaśniejsze wchodzi tory: nie dajmyż jéj upaść.

RUMUNKA.

Sparsa colligio, moglibyśmy wziąść za godło czasopisma illustrowanego. Rumunka potrójnie z dalekiéj drogi przybyła do pisma naszego; raz jako przedmiot do obrazu osnutego na typie naddunajskim, powtóre jako dzieło artysty mieszkającego w odległym zakącie Bukowiny, nareszcie jako obraz który zdobił tegoroczną międzynarodową wystawę Sztuk pięknych w Wiedniu.

Gościnne podwoje tak zwanego Künstlerhausu wiedeńskiego, przez trzy miesiące co roku otwarte są dla artystów wszelkich narodowości równie gościnny *Tagesblat* dziennik wiedeński uczcił gorącemi pochwałami obraz, którego kopię tu podajemy, wróżąc p. G. przyszłość pełną świetności.

MALBORG.

Miecz rycerstwa średniowiecznego miał rękojeść kształtu krzyża, na mieczach bywały też i napisy nabożne; dziwna to była sprzeczność narzędzia śmierci lub zdobyczy przemocnéj z pojęciami przywiązanemi do symbolu zbawienia; téj atoli sprzeczności właśnie obrazem są dzieje, czyny i sprawy niemieckiego zakonu rycerzów krzyża.

Mnisi szpitalni w czasie wypraw do Ziemi Świętéj, z konieczności miecz przy boku noszący, sprowadzeni przez niebacznego Konrada Mazowieckiego dla nawracania pogańskich Pruss, stali się wnet wrogami porządku i ładu społecznego: mnisi i chrześcianie, miecz jako godło swych dążeń na miejscu krzyża postawili.

Na skarby gromadzone drogą grabieży, na miejsca uciech i przepychu światowego, dla obrony przeciwko sprawiedliwéj nienawiści pokrzywdzonych dobroczyńców i sąsiadów, należało też wznieść odpowiednie mury, obszerne, silne i świetne zarazem: te mury to Malborg. Ku czci Maryi przeczystéj Maryenburgiem czyli grodem Maryi nazwano tę faryzeuszowską stolicę. Wielkiego mistrza zakonu była to siedziba główna, tu z Komturami narady odbywał, tu sąsiada przyjaciela sojusznika niebacznego Witolda za żelaznemi chowano drzwiami, ztąd na ochrzczoną już Litwę szły rozkazy, pożogę i zniszczenie niosące. Do dziś dnia zachowana jest znaczna część sklepionych kolumnowych sal, lub doprowadzona do stanu w jakim były, kiedy się po tych sklepieniach chrzęst zbroi i brzęk gęstych kielichów rozlegał, grube mury przeszło pięciuset-letniéj dawności przetrwały pożary i szturmy zdobywców, chociaż wrzeciądze bram nieraz pękły, a zamek uległ grabieży szwedzkiéj. Mieszkańców zmieniała ta forteca kilkakrotnie: po mistrzach zakonu i mnichach, którzy swój żywot przewrotny przejściem na protestantyzm zakończyli, przemieszkiwali tam królowie z rodu Jagiellonów i Wazów, po szwedzkim zaś napadzie i wytargowanych dla domu brandeburskiego traktatach, zapanował już zupełną pustką i tylko jaskrawa barwa ceglanych murów i wieżyc zawsze jednako krwawą smugą odbija się pięćset lat w wartkim prądzie Nogatu.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NIEMCY WSPÓŁCZESNE.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 78).

Dawid Strauss, przez Wiktora Cherbuliez'a.—Poeci nowego cesarstwa, przez tegoż.—Teodor Mommsen, przez Gastona Boissier'a. (Revue des deux Mondes, Luty, Marzec i Kwiecień z r. b.)

Wątpić jednak należy, czy to uczyni kiedykolwiek pan de Redwitz, autor „Amaranty" i „Hymnu nowego Cesarstwa Niemieckiego." Amaranta, rodzaj epopei mistyczno-romantycznéj, cieszyła się około roku 1849 wielkiém w całych Niemczech powodzeniem. Jest to zbiór rycerzy pobożnych żegnających się co chwila, trubadurów, gitar, nieustannego jęku dzwonów, kwiatów i strumyków aż do przesytu:—istna powódź blasków księżyca i świergotu ptasząt, słowem miniaturowe, kieszonkowe wieki średnie, elegancko wystrojone i przeniknione na wskroś zapachem pochodni i piżma. Któżby uwierzył, że twórca téj czułéj, słodkiéj, dziewiczo-niewinnéj sielanki, zatęskni z czasem do hymnów klątwy, nienawiści, zapału i radości, śpiewanych na urzędową notę?

A jednak są rzeczy na ziemi i niebie, o których się filozofom nie śniło!

Ostatnia wojna przyniosła Niemcom 5 miliardów franków indemnizacyi i 500 sonetów, gdyż tyle ich liczy hymn p. de Redwitz. Po zawarciu pokoju pirenejskiego Mairet napisał jeden tylko sonet dla uczczenia tak wielkiego wypadku, i miał szczęście ofiarować go osobiście królowéj Annie austryackiéj. P. Bismarck może się pochlubić, że stworzył w dziejach świata nową epokę, w któréj wszystko będzie płodne jak lasy indyjskie, olbrzymie jak piramidy Egiptu. Odtąd wynagrodzenia wojenne liczyć się będą na miliardy, a każdy miliard stanie się powodem stu sonetów radosnych. W każdym razie istnieje pomiędzy miliardami i sonetami ta ważna różnica, że według zdania znawców złoto francuzkie jest dobréj próby, a nie o wszystkich wierszach poetów cezarystów dałoby się toż samo powiedzieć.

Jakkolwiek złożony z samych sonetów, „Hymn nowego Cesarstwa" pełen jest rozmaitości. Można w nim znaleźć opowiadania z nastrojem epicznym, uniesienia liryczne, epigramata, oburzenia, krzyki wściekłości, westchnienia, łzy, adoracye i gruchania gołębie. Poeta sławi naprzód wielkość cesarza Wilhelma, „w którego oczach światło w ciszy płonie,"—potém zwraca się do generałów dowodzących pod Wörth i Sedanem, zachęcając ich do pamiętania aż do zgonu o tych zwycięztwach,—wezwanie, któremu z pewnością będą posłuszni. To znowu przywołuje przed p. von Moltke,—Aleksandra, Juliusza Cezara, Napoleona, Wellingtona, Fryderyka Wielkiego. Ci bohaterowie spoglądają zdumioném okiem na rywala, który ich przewyższył i schylają przed nim czoła z pokorą. W innym sonecie wprowadza na scenę wielkiego kanclerza, tego orła, który ogarnia okiem przenikliwém pola bitew dyplomatycznych, bohatera, który prowadzi wojnę świętą mieczem rozumu, łucznika, którego strzały przeszyły obłudę i bezczelność Gallów... „Jedna myśl niepokoi mnie, o wielki człowieku! mówi p. de Redwitz — maszże ty serce? W czynach twoich nie przebija się uczucie... a jednak, gdy zostawałeś z dala od swoich, tęskniłeś do ognisk rodzinnych, do ukochanéj żony i siostry. Tak, czuję to, jakkolwiek się wydajesz bohaterem z bronzu, księciem niezłomnym na polu inteligencyi — masz jednak serce, które nigdy nie będzie szydziło z mojego."



Kto tu panem, a kto gościem?....

Daléj przychodzi kolej na Welchów. P. de Redwitz obarcza przekleństwy fałsz Welchów, zdradę Welchów, niemoralność Welchów, zepsucie Welchów, a tym wszystkim bezeceństwom przeciw stawia uczciwość niemiecką, czystość niemiecką, pobożność niemiecką, sumienie niemieckie i wszelkie cnoty, które tak sowicie wynagrodziła Opatrzność, przenosząc 5 miliardów z kieszeni francuzkich, do kieszeni niemieckich.

Na ostatku autor *Hymnu* błaga Boga, aby uwolnił przecię Niemców od zbytniéj skromności, aby wlał w nich przekonanie, że są narodem nieporównanym, pierwszym narodem świata. Porównywa północ i południe Niemiec do dwóch łabędzi płynących zgodnie pod skrzydłami orła cesarskiego, i pragnie, aby serca tych łabędzi stały się odtąd podobnemi do śpiewu słowika. „W głębi tych serc, stosownie do missyi mojéj, składam ten poemat nowego Cesarstwa."

„Dzięki Bogu,—dodaje p. Cherbuliez, że to tylko jeden tom w dwunastce, rzecz bowiem ciężka i trudna do strawienia nawet dla serc łabędzich śpiewających po słowiczemu." (*d. c. n.*)

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 18 (30) Сентября 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.